

„Zostają wątpliwości...”

Pork:

Kolejny ranek, leci kawałek singla Dilated Peoples,
wychodzę – winda- parter, jadę po tytoń.
Jest chyba czwartek lecz wiesz wisi mi to,
kioski otwarte, wchodzę, błyszczą lastrico.
Jak mam wierzyć pierwszym stroną
jak do końca nie wierzę sobie?
Nie ufam pierwszym stroną, może mam fobię.
Mam wierzyć mentorom, że mają świat pod kontrolą,
dopóki na kolejny moloch nie spadnie samolot?
Za ladą kolo stał tak jak za colą sprite,
wyglądał jakby wczoraj zderzył się z nim Bolo Young,
lub przeżył holokaust – proszę marlboro light,
kończę monolog, biorę marlboro wychodzę jest maj.
Mija mnie grupa zalana w trupa, z okna gra Tupac,
jest upał, czarny nekrolog wciąż wisi na słupach.
Ten kolo przeżył niewiele ponad czterdzieści lat,
cywilizacja mas umiera powiedziałby Szad.
Wracam – klucz, drzwi, winda, w mękach na jedenaste,
nie jestem sam, obok panienka w jej rękach Hustler,
gdzieś z czwartego piętra słyszę gra Basket,
windą stop – żegnam laskę, jadę na jedenaste...

Ref:

Siedzę i gin na tury piję, w mroku oddycha cisza,
jak film w ponurym kinie płynie leniwie czas dzisiaj.
Ludzka natura hien każe nam biec po trupach,
w miasta konturach ginie wiara – Bóg nas oszukał.
Jest po 24:00 – znów nie mogę zasnąć,
w Cd-ku grają sample, znów widokiem miasto.
Światła pod blokiem gasną, kończy się pościg,
dziesięć pięter, parter, zostają wątpliwości...

Null:

Jest środek dnia, z bólem głowy, z pełną wody szklanką
skacowany wychodzę na balkon.
Tak witam znowu dzień między trzecią a czwartą,
za dużo alkoholu, wiem, chyba nie było warto.
Po prawej miasto przypomina piekło,
po lewej dym z komina – myśli biegną.
Mam tyle pytań, gdy wspominam przeszłość,
wtedy godzina przypomina wieczność.
Biorę łyk wody, poczym łapię oddech,
zamykam oczy, lecz ciągle czuję pośpiech.
Kolejny łyk wody, na drogach korki,
czy to za hajsem pościg jak na Wallstreet?
Po co mi miliony parszywej gotówki?
Gdzie kupię bony na szczęście za złotówki?
Po co mi miliony co nie wypełnią pustki?
Ilu jest takich z kasą co żyją w próżni.
Po lewej sąsiad wygląda z okna,
pod kłatką słodka idiotka znów na plotkach.
Już prawie piąta, kończę ten show time,
czasem nie rozumiem ludzi – wracam do środka.

Szad:

Zabieram rękę spod podpartej szczęki,
wstaję gaszę sprzęt i wyłączam ten bit.
Obok łazienki ubieram stare buty i krótkie panterki,
do ręki biorę klucz i dwie puste butelki.
Klucz do zamka - przekręcam – klamka,
Szara firanka na korytarzu prawie nie wpuszcza światła,
schody, klatka – jakbym to przeczuł - w kieszeni kartka,
w ten długi wieczór czeka mnie rejs po przystankach.
Bo czasem są dni, że jestem tylko ja i chodnik,
to dni kiedy czas płynie jak w samotni.
Bo czasem są dni, kiedy zaczynam wątpić,
zbyt wiele pytań, zbyt wiele brakujących ogniwi.
Czy rzeczywiście instynkt zabójcy w nas jest?
Czeka mnie wolność, czy ten zabójczy azbest?
Kiedy odnajdę wenę, a kiedy znów przygasnę
i czy zostanie po mnie ten twórczy aspekt?
Boże daj spokój, spójrz już po dwunastej,
chcę poznać prawdę, zginę od kul czy zasnę?
Jak się zakończy mój lot nad kukułczym gniazdem
i czy na końcu odnajdę ból czy pasję?